

Prolog

SYSTEM VENTORIA

JURYSDYKCJA TERRAŃSKA

ORBITA PLANETY SOBO

STACJA BADAWCZO-WOJSKOWA VENTES-4

Kapitan Frank Foriet był dowódcą Ventes-4 od przeszło dwudziestu lat i nigdy nie przeszkadzało mu to, co inni nazywali rutyną. Lubił spokojne życie, więc stanowisko, które piastował, w pełni mu odpowiadało, szczególnie że system Ventoria był traktowany niczym rubież cywilizowanego świata. To co dla większości byłoby zsyłką i załamaniem kariery wojskowej, dla niego okazało się spełnieniem marzeń. Urodził się i wychował na Ziemi, ale odkąd wstąpił do Terrańskiej Akademii Galaktycznej, całe życie poświęcił Flocie. Teraz w wieku sześćdziesięciu siedmiu lat, po ponad czterdziestu latach czynnej służby, miał przejść na emeryturę i wrócić do domu. Czyli właściwie dokąd? Na Ziemię? Do miejsca, gdzie nie znał nikogo, a z najbliższą rodziną już dawno zerwał wszelkie kontakty. Nigdy nie ciągnęło go do żeniaczki, za krewnymi też nie tęsknił, ponieważ Flota w pełni ich zastępowała. W gruncie rzeczy była dla niego wszystkim, co znał. Ventes-4 stała się całym jego życiem. Był w domu i nie chciał udawać się na wygnanie. Nie taki koniec sobie zaplanował. Choć tak naprawdę nigdy o nim nie myślał. Aż do teraz.

Wszedł pełen ponurych myśli na mostek, trzymając w ręce zmiętą kartkę. We Flocie nadal używano papieru, mimo zaawansowanej technologii oraz cybernetyki. Zabawne, pomyślał, siadając w fotelu dowódcy, koło którego na małym stoliku czekał na niego kubek z gorącą kawą. Zbliżał się niemal koniec dwudziestego trzeciego wieku, a on nadal otrzymywał oficjalne dokumenty wydrukowane na papierze. Zerknął ponownie na depeszę od dowództwa, co przywróciło mu ponury nastrój. Emerytura... Absurd! On się na

to nie nadaje. Jeśli ci wałkonie z admiralicji myślą, że go uziemią, to są w dużym błędzie.

– Panie kapitanie, dobrze się pan czuje? – spytała młoda kobieta w mundurze porucznika Terrańskiej Floty Galaktycznej. Na rękawach i kołnierzu widniały insygnia pierwszego oficera.

Foriet otrząsnął się z zamyślenia i szybko schował wymiętą depeszę do kieszeni spodni, trącając przy tym łokciem kubek z kawą. Zaklął pod nosem, gdy usłyszał dźwięk tłuczonej taniej porcelany. Może rzeczywiście jest już za stary na to wszystko?

– Nic mi nie jest – odparł pośpiesznie. W międzyczasie ktoś podbiegł, aby posprzątać stłuczone naczynie. – Zamyśliłem się tylko. O co chodzi?

– Wykryliśmy na radarze jedną z naszych jednostek zbliżającą się do stacji w tunelu podprzestrzennym – zameldowała szybko porucznik Alice Lixia, udając, że nic nie zauważyła.

– Co to za jednostka?

– TFG *Ulisses*, gwiazdny krążownik klasy Rocket. Nie mamy go w naszym rejestrze przyjąć. Zdaje się, że mają jakiś problem, gdyż odczyty na radarze podprzestrzennym są... dziwne.

– Wywoływaliście ich?

– Nikt nie odpowiada na nasze wezwanie.

– Może nas nie słyszą – stwierdził Foriet.

– To możliwe, sir. Jeśli coś szwankuje, to musi być po ich stronie. Nasz sprzęt działa bez zarzutu.

– Radiooperator! Proszę o raport.

Siedzący przy pulpicie młody krępy mężczyzna, nie spuszczając wzroku z monitora, szybko odpowiedział dowódcy:

– Ich sygnał na radarze podprzestrzennym jest stały, ale niezbyt silny. Wygląda to tak, jakby ich radiolatarnia podprzestrzenna traciła moc. Powinni

wyść z tunelu za trzydzieści siedem sekund, jakieś dziesięć tysięcy metrów na wprost nas. Sektor C-5.

– Dobrze cię wyszkolili, młody – zażartował kapitan, próbując rozładować zżerającego go napięcie. – Poczekamy, aż się pojawią i spróbujemy ponownie. Pani porucznik, proszę przygotować holowniki i ekipę medyczną.

Po czym dodał:

– Tak na wszelki wypadek.

Porucznik Lixia spojrzała znacząco na swego dowódcę, po czym bez słowa odeszła wykonać rozkaz. Sekundy wlekły się niemiłosiernie, zaś Frank czuł, że coraz mocniej się poci. Gdy przyniesiono mu drugą kawę, na kosmicznym niebie rozbłysła na wprost nich błękitna tarcza otwierającego się tunelu podprzestrzennego. Świetlisty dysk oślepił na chwilę Franka, po czym zniknął tak samo nagle, jak się pojawił.

Gwiezdne krążowniki klasy Rocket przez niemal osiemdziesiąt lat stanowiły trzon siły uderzeniowej TFG. Zaprojektowane pod koniec dwudziestego drugiego wieku, były pierwszymi dużymi okrętami wojennymi zbudowanymi przez Terran. W sumie do służby weszło ponad tysiąc dwieście tych okrętów, a dzięki swej wszechstronności znaczna ich część nadal była w czynnej służbie, dzięki licznym modernizacjom. Obecnie, w czasach pokojowej eksploracji kosmosu, wykorzystywano je jako jednostki eskortujące konwoje oraz do walk z wrogimi frakcjami. Standardowe wersje tych okrętów mierzyły niecałe osiemset siedemdziesiąt metrów długości oraz średnio sto dwadzieścia metrów szerokości, przy nieco ponad pięćdziesięciu metrach wysokości, wliczając w to wieżę mostka obserwacyjnego. Napędzane były trzema silnikami impulsowymi oraz zespołem silników pomocniczych, a dzięki zaawansowanemu systemowi generatorów grawitacyjnych potrafiły samodzielnie lądować na planetach niemal każdego typu. W kosmicznej próżni zaś zachowywały wysoką wartość bojową głównie dzięki dobrze zaprojektowanemu systemowi grodzi oraz potrójnemu pancerzowi

zewnątrznemu. Uzbrojone w cztery rzędy lekkich działek pulsarowych, po dwa na burtę, śmiało wymiatały całe skrzydła lekkich myśliwców i bombowców. Pięć wież artyleryjskich na głównej osi okrętu posiadało po dwa działa plazmowe. Za trzecią wieżą, licząc od dziobu, wznosił się przysadzisty mostek. Dodatkowo krążownik posiadał na wysokości śródokręcia dwa hangary myśliwskie, po jednym na burtę. Każdy mieścił po dwanaście myśliwców przewagi przestrzennej. W obu hangarach przewidziano również miejsce dla promu medycznego, a w hangarze pierwszym była wydzielona strefa dla małego promu cywilnego.

Jednak to, co ujrzała załoga stacji Ventes-4, daleko odbiegało od tego opisu. Jedyne określenie, jakie przychodziło im do głowy to dryfujący wrak poskręcane metalu. Mostek i cztery działa plazmowe po prostu zniknęły. W ich miejscu pozostały jedynie wielkie wyrwy. Z hangarów wydobywały się co jakiś czas kłęby gęstego dymu, prawdopodobnie będącego efektem pożaru paliwa dla myśliwców, które potrafiło się palić w warunkach beztlenowych.

Kapitan Foriet wydał rozkaz natychmiastowego wysłania holowników do ustabilizowania okrętu sunącego bezwładnie w kosmicznej próżni. Gdy tylko udało się zakotwiczyć i unieruchomić jednostkę, od razu skierowano na nią promy medyczne. Po kilku minutach zgłosił się przez radio dowódca zespołu ratowniczego:

- Mostek, słyszycie mnie? Odbiór.
- Głośno i wyraźnie – odpowiedział szybko radiooperator.
- W centralnej części jednostki jest powietrze i mamy kilku żywych.
- Stan? – zapytał szybko Foriet.
- Kiepsko z nimi, ale przeżyją. Jeden jest przytomny.
- Da radę mówić?
- Cały czas to robi, tyle że to nie ma sensu.
- To znaczy?
- Wciąż powtarza jedno zdanie: „Niszczyciele przybyli”.

Rozdział 1

SYSTEM DOVOS

JURYSDYKCJA HORIOŃSKA

PAS PLANETOID D-87C

PRYWATNA KOPALNIA ŻELAZA I KWARCU PLANEOT

System Dvos podlegał w całości Horiońskiemu Dominium, jednemu z pięciu najważniejszych przedstawicieli Federacji Galaktycznej. Horonie, wchodzący w skład Rady Galaktycznej wraz z czterema innymi dominującymi rasami, zajmowali się głównie handlem w strukturach Federacji. To, co zdecydowanie wyróżniało Horion spośród innych humanoidalnych ras, to dwie pary długich rąk zakończonych smukłymi dłońmi z bardzo chudymi palcami oraz wąska, podłużna głowa pozbawiona małżowin usznych i wystającego nosa. Ich wysokie, smukłe i jednocześnie mocno umięśnione ciało było całkowicie pozbawione owłosienia. W zależności od pochodzenia etnicznego kolor ich skóry przybierał różne odcienie niebieskiego. Horonie, mimo ponadprzeciętnej siły, nie garnęli się do pracy fizycznej wymagającej ubrudzenia sobie rąk. W takich sytuacjach woleli czerpać zyski, udzielając licencji, oczywiście odpowiednio dla nich korzystnych, kompaniom lub firmom wydobywczym. Taki proceder zawsze przyciągał firmy nie przejmujące się zbyt reputacją pracowników, jednak Horiońskiemu Dominium to nie przeszkadzało, póki nie dotyczyło polityki zewnętrznej.

Na Planeocie pracowali głównie przedstawiciele dwóch innych dominujących ras: Terranie oraz Varianie. Ci drudzy należeli do człekokształtnej rasy bardzo inteligentnych jaszczurów, mających smykałkę do techniki oraz robotyki. Placówka miała charakter prywatny i była własnością jednego z terrańskich konsorcjów wydobywczych, które specjalizowało się w pozyskiwaniu surowców z najbardziej nieprzyjaznych rejonów kosmosu. Życie na Planeocie nie było łatwe, ale i tak zdawało się być rajem w porównaniu do

kopalni zatrudniających więźniów. Tutaj każdy był wolnym obywatelem Federacji i mógł odejść, kiedy tylko zechciał, choć większość pracowników nie zamierzała opuszczać tego miejsca ze względu na swoją przeszłość. Starano się stworzyć tu jak najbardziej pokojowe warunki, jednak nierzadko dochodziło do konfliktów między górnikami.

– Spokój, do kurwy nędzy! Czy wy nie możecie zacząć normalnie żyć na tej pieprzonej platformie?! Powiedziałem: spokój! Toves, przytrzymaj tego kretyna, zanim zrobi komuś krzywdę.

Potężny, barczysty mężczyzna podszedł do szamoczących się pijanych górników, jednego z nich złapał wpół, więząc w żelaznym uścisku. Jego przeciwnik miotał się jeszcze przez chwilę, rzucając we wszystkich wyzwiskami, ale w końcu opadł z sił. Ochroniarz z miną pełną dezaprobaty popatrzył na swego dowódcę.

– Mam wrażenie, że ci dwaj nie nadają się do tej roboty, kapitanie.

– Wiem – westchnął gorzko Gort, dowódca placówki, który w istocie nie posiadał stopnia kapitana, ale lubił ten nieformalny tytuł. – Zabierz tych matolów do karceru.

– Wątpię, aby to cokolwiek dało – odparł zniechęconym tonem osiłek, dając znak swym ludziom, aby zabrali obu awanturników z mesy. – Więcej sensu miałyoby, jakbyśmy wywalili ich przez śluzę. I tak nikt nie będzie po nich płakać.

– A znajdziesz mi kogoś na ich miejsce, Toves? Wiesz, jak mało mamy rąk do pracy, ledwo wyrabiamy z terminami. Potrzebuję każdego, rozumiesz, każdego kto jest zdolny latać w tych przeklętych skafandrach i pracować.

– Wyraziłem tylko swoje zdanie.

– W tej chwili mam naprawdę głęboko w dupie twoje zdanie – mruknął Gort. – Gdy wytrzeźwieją, mają wrócić do pracy.

Ochroniarze posłusznie wyprowadzili niepokornych górników.

– Wracajcie do jedzenia, koniec przedstawienia. – Gort zwrócił się do pozostałych robotników, którzy byli świadkami całego zajścia. – A jak jeszcze któremuś zachce się wygłupów, to go wywalę przez śluzę z takim impetem, że nawet gaci nie zdąży założyć. Zrozumiano?!

– Dotyczy wszystkich gatunków? – spytał potężny jaszczur, ubrany w pomarańczowy kombinezon zbieracza planetoid. – Czy tylko Terran?

– Nie bądź taki cwany, Waras. Dobrze wiesz, że poza tą platformą nie ma dla ciebie życia. – Dowódca ledwo sięgał stworowi do piersi, ale w ogóle nie zwracał na to uwagi. – Jak ci nie pasuje, to wracaj na swą ojczystą planetę. Zapewne chętnie nakarmią tam tobą xa'fiarty. A może się mylę?

– Ma pan wyjątkowy dar przekonywania, kapitanie. Nawet jak na człowieka.

–Więc o tym pamiętaj, bo wystarczy, że zawiadomię waszą policję i...

– Panie kapitanie, można prosić na mostek? To pilne. – Zabrzmiął nagle głos w radiu przyczepionym do kurtki dowódcy.

– Już idę – odpowiedział Gort całkiem innym tonem, po czym na odchodne rzucił gniewnym spojrzeniem na górników. – Ma być spokój! Nie płacę wam za burdy, tylko za zbieranie planetoid.

Chwilę później był już na mostku, gdzie od razu wyczuł napiętą atmosferę. To był naprawdę kiepski dzień i pragnął całym sercem, by w końcu się skończył. Podeszedł do swego adiutanta ubranego w podstarzały i podniszczony mundur TFG, będącym ostatnią pamiątką jego minionego życia. Mężczyzna na widok dowódcy wstał z fotela i zameldował:

– Jakiś statek wyszedł niedawno z podprzestrzeni na wprost nas. Próbowaliśmy go wywołać, ale nikt nie odpowiada.

– Co to za jednostka i do kogo należy?

– W tym właśnie problem, sir. Nie wiemy.

– Jak to: „nie wiecie”? – zdziwił się Gort.

– Nie mamy jej w żadnym z oficjalnych rejestrów flot Federacji, ani w rejestrze Pograniczników. Sprawdziliśmy nawet Czarną Listę i oficjalny rejestr okrętów korsarskich. Nie mamy zupełnie niczego. Ten statek nie pasuje do żadnego typu jednostek, jakie znamy.

– Jesteście absolutnie pewni, że to zupełnie nowa jednostka?

– Tak, sir. Pytanie tylko do kogo należy i jakie ma zamiary. Osobiście obstawiałbym wojsko, bo oni lubują się w tego typu podchodach.

– Może to jakiś nowy typ okrętu, który testują w warunkach polowych? – dodał pierwszy oficer, który pojawił się na mostku.

– Cholera ich wie, sir – odparł radiooperator. – Ale to bardzo możliwe. To tłumaczyłoby ciszę radiową.

Kapitan zasępił się na chwilę, po czym zwrócił się do operatora radaru:

– Daj ich na główny ekran.

Wielki monitor zamrugał i po chwili ukazał się wszystkim ogromny, błękitno-czarny okręt międzygwiazdny. Na jego głównej osi znajdowało się siedem dużych wież artyleryjskich, zaś po bokach wystawały około dwa tuziny lekkich działek. Na oko mierzył jakieś tysiąc pięćset metrów długości i niecałe sto metrów szerokości, przy czym był dość płaski. Spod dziobu wystawały mu pod kątem ostrym dwa kilkadziesiątmetrowe ramiona, zakrzywione w połowie i skierowane do przodu. Okręt nie sprawiał wrażenia przyjaznego.

Dowódca już chciał wydać rozkaz, aby ponownie spróbować skontaktować się z przybyszami, kiedy niespodziewanie oślepiająca kula energii uderzyła w platformę. Wszystkie światła zgasły niemal w jednej chwili, a całą konstrukcją zatrzęsło. Z monitorów i paneli, posypały się snopy iskier. Po chwili włączyły się czerwone lampki alarmowe oraz syreny, jednak i one szybko zamilkły.

Gdy wszystko się uspokoiło, automatycznie włączyło się awaryjne zasilanie platformy. Ludzie na mostku szybko zaczęli powracać na swoje stanowiska i meldować o uszkodzeniach, jednak dowódcę najbardziej

interesowało co innego. Przyciskając brudną chusteczkę do rozciętej brwi, podszedł do operatora radaru i zapytał:

- Możesz dać na główny monitor obraz tego przeklętego okrętu?
- Chyba tak, sir. Zobaczę, co da się zrobić.
- Wysiadła niemal cała elektryka, panie kapitanie – zameldował pierwszy.
- Co to było, na Boga?

– Prawdopodobnie pocisk elektromagnetyczny. Nieźle nas urządzili. Co działa?

– Rezerwowe zasilanie jest sprawne w sześćdziesięciu ośmiu procentach – zameldował adiutant, odczytując dane z konsoli. – Straciliśmy osłony magnetyczne, radio satelitarne i podgląd podprzestrzeni. Nie działają też wrota w lukach myśliwców i pojazdach górniczych, padło całe zasilanie w skrzydle medycznym, mesie i skrzydle mieszkalnym. Rozładowało też główne magnesy w generatorze grawitacyjnym, za kilka minut wszystko tu będzie fruwać.

– Pokojowo nastawieni to oni na pewno nie są – stwierdził ponuro Gort. – Zarządź alarm i niech wszyscy przygotowują się na abordaż!

- Sądzi pan, że to piraci?
- Oni albo zdecydowanie zbyt nadgorliwi wojskowi. Co z tym podglądem?
- Działa, sir. Już daję obraz.

Dowódca wraz ze swymi podwładnymi na mostku spojrzeli na główny monitor, po czym zapadła martwa cisza. Gort pobierał na twarzy, powoli opuścił rękę, w której trzymał zakrwawioną chusteczkę i tępym wzrokiem wpatrywał się w mętny obraz na poszarzałym od zakłóceń ekranie.

– Słodki Jezu... – wyszeptał.

Nim zdążył wydać jakikolwiek rozkaz, było już za późno. Większość mieszkańców platformy nawet nie zdała sobie sprawy z tego, co się dzieje, a reszta mogła tylko czekać na nieuniknione.

SYSTEM DOVOS

DARK HURRICANE

ZAŁOGA: 10 OSÓB

ŁADUNEK: CZĘŚCI DO MASZYN OCZYSZCZAJĄCYCH KWARC

Smukły stalowoszary okręt mknął po rozgwieżdżonym kosmicznym niebie. Zarejestrowany jako jednostka transportowa, tak naprawdę był szybką korwetą przechwytyjącą, choć określenie fregata wielozadaniowa bardziej by tu pasowało. Mierząc od dziobu po dysze silników miał niecałe sto czterdzieści metrów długości. Posiadał trzy silniki impulsowe, jeden główny i dwa pomocnicze, które pozwalały mu lądować na planetach i sprawnie poruszać się w kosmicznej próżni. Oprócz tego wyposażony był w czwarty silnik, o którym wiedziała tylko załoga, używany w sytuacjach, jak sami to określali: „niepożądanego wzrostu ryzyka”. Statek miał całkiem przestronny luk ładunkowy, a mimo to nadal wystarczało miejsca, aby każdy z członków załogi miał własną, dość przestronną kajutę wyposażoną w punkt sanitarny i sypialny. Do tego dochodziła wspólna mesa z kuchnią i spiżarnią, centrum medyczne, oczywiście w połowie wyposażone nielegalnie, oraz strzelnica, która pierwotnie była salą kinową.

Jak na jednostkę transportową posiadał pokaźne uzbrojenie, które w rejestrze oficjalnie określono jako: „podstawowe środki ochrony indywidualnej”. W ich skład wchodziły dwie wyrzutnie torped konwencjonalnych, trzy działka protonowe osadzone pojedynczo na wysuwanych platformach, w tym jedna nad kokpitem, oraz dwie stacjonarne wieżyczki plazmowe ulokowane po jednej na każdej z burt śródokręcia. Dodatkowo na rufie miał zamontowane chowane, automatyczne pięciolufowe działko obrotowe, strzelające amunicją półpłaszczową, jednak o tym już raport techniczny nie wspominał. Tak samo jak o małym fakcie, że jednostka często przewoziła dwa razy więcej torped, i to zupełnie innego typu, niż miała na to wydane pozwolenia od Terrańskiej Floty Handlowej.

Innymi słowy *Dark Hurricane* mógł latać, gdzie chciał i zawsze wychodził z wszelkich opresji zwycięsko. Jednak to nie zawrotna prędkość czy silne uzbrojenie decydowały o sukcesach, a jego załoga, oficjalnie według papierów uchodząca za całkiem normalną i nudną zbieraninę, zarabiającą na życie w pełni legalnie, jak to w transporcie.

Podporucznik Alan Drake wszedł właśnie na mostek z wielkim kubkiem parującej herbaty indyjskiej. Prawdziwej, a nie syntetycznej lury, którą serwowano w każdym porcie kosmicznym. Usiadł wygodnie w swym obrotowym fotelu na mostku i delektując się mocnym, aromatycznym płynem, zaczął przeglądać mapę galaktyki na pulpicie przed nim.

– Za sześć minut będziemy przy węźle skokowym, Al – powiedział mężczyzna w średnim wieku, siedzący przy pulpicie nawigacyjnym. Połowę jego twarzy stanowiła metalowa maska z tłącym się bladozielonym światelkiem w miejscu prawego oka.

– Widzę, Novix. Jak skończymy to gówniane zlecenie, to musimy w końcu znaleźć coś porządnego – skomentował kwaśnym tonem dowódca. – Zawiadam wszystkich, że zaraz wchodzimy w podprzestrzeń.

– Myślałem, że lubisz takie „spokojne” życie – zażartował cyborg, a jego sztuczne oko zalśniło.

– Jak na kogoś, kto zamiast połowy ciała ma kilkaset metrów drutu i tonę śrubek, to humor masz wybitnie ludzki – odpowiedział sarkastycznie Alan.

– Jak na starzejącą się strukturę komórkową, ukształtowaną w tak zwanego człowieka, masz nad wyraz stalowe nerwy.

– Inaczej nie mógłbym mieć cię za nawigatora, bo bym się zabił. Albo ciebie.

– Prędej to pierwsze – uśmiechnął się Novix, po czym sięgnął po mikrofon i włączył radiowęzeł. – Słuchajcie mnie, ferajna! Za chwilę wejdziemy w podprzestrzeń i za jakieś piętnaście minut będziemy odbierać wypłatę za mazoły tej jakże nudnej i obrzydliwie uczciwej pracy. Kotix, weź zaopatrzyć się w

jakieś torebki albo mopa do ścierania rzygów. Twój ostatni obiad dotąd mam w pamięci.

– To ją sobie zresetuj, blaszana dupo! – ryknął w telekomie twardy męski głos.

– Ja tylko uprzedzam fakty, brachu.

– Może ty masz kawał konserwy zamiast żołądka, ale ja nie. I to nie moja wina, że cierpię na chorobę podprzestrzenną. – Ton w głośniku był coraz bardziej agresywny, ku uciesze załogi przesiadującej na mostku.

– O, przepraszam – odparł z udawanym oburzeniem nawigator. – Żołądek mam dalej swój. Całkiem naturalny.

– No dobra, koniec przepychanek – wtrącił się Alan. – Niech wszyscy przygotowują się na wejście do tunelu. A tak na marginesie, Kotix, to jednak może rzeczywiście weź sobie jakiś worek, albo dwa.

Z głośnika popłynęła krótka kanonada ostrych przekleństw, po czym nastąpiła cisza. Novix uśmiechnął się od ucha do ucha, prezentując swe śnieżnobiałe, sztuczne zęby.

– On naprawdę nie ma poczucia humoru.

– Jakbyś rzygał za każdym razem, kiedy wchodzimy i wychodzimy z podprzestrzeni, to też byś nie umiał się śmiać.

– Różnica polega na tym, że ja nie rzygam – zarechotał Novix, po czym wrócił do swych obowiązków.

Chwilę później przed dziobem statku otworzył się świetlisty dysk, który powoli „wessał” okręt. *Dark Hurricane* mknął błękitnym tunelem z prędkością kilkukrotnie szybszą od prędkości światła. Normalnie byłoby to niemożliwe, ale podprzestrzeń była innym wymiarem, rządzącym się własnymi prawami fizyki. Wymiarem, który otworzył ludziom i innym inteligentnym rasom drogę do najdalszych krańców wszechświata.

Na mostek wszedł wysoki, postawny mężczyzna w poplamionym i nieco podartym pod pachami pomarańczowym kombinezonie. Ambi Dover pochodził

z planety Danar i był Ovianinem, przedstawicielem rasy wywodzącej się z pustynnej planety Oviart. Ovianie z wyglądu przypominali Terran; wyróżniały ich jedynie wąskie, czarne niczym węgiel oczy, pokryte przeźroczystą łuską, zaś ich włosy były czymś na kształt krótkiej szczeciny. Posiadali bardzo silnie umięśnione ciało oraz grubą, zwykle złotobrązową skórę.

Mechanikowi towarzyszyła siedemnastoletnia, młodsza córka, która była w połowie Terranką. Urodę zdecydowanie odziedziczyła po ludzkiej matce. Długie kręcone rude włosy tworzyły na jej plecach wodospad ognia, zaś lśniące bursztynowe oczy zawsze figlarnie obserwowały mężczyzn. Pełne usta rysowały się wyraźnie na jasnoczekoladowej cerze, a szczupła sylwetka i dumna postawa przyciągały spojrzenia wszystkich przedstawicieli płci męskiej niezależnie od rasy, z jakiej się wywodzili. Ojciec, po tragicznej śmierci żony, zabrał Kate wraz z jej o dwa lata starszą przyrodnią siostrą Weroniką, na statek swego przyjaciela Alana Drake'a, gdzie szybko się zdomowili, stając się nierozdzielalną częścią załogi. Wychowana pośród gwiazd, w towarzystwie najemników stojących na bakier z prawem, młoda dziewczyna o charakterze równie płomiennym jak jej włosy, przysparzała ojcu masę kłopotów. Jednak zarówno Ambi, jak i każdy z załogi Dark Hurricane, prędzej by zginął, niż pozwolił, by Kate czy Weronice stała się krzywdą.

– I co tam słyszeć w czeluściach maszynowni? – zagadnął Alan do przyjaciela.

– Silnik śpiewa jak tenor w operze – odparł Ambi, nalewając sobie syntetycznej kawy z pokładowego ekspresu. Z całej załogi tylko on był w stanie ją pić i, co gorsza, wydawało się, że naprawdę mu smakuje, podczas gdy każdą normalną osobę skręcało już od samego zapachu. – Czyli tak jak zwykle. Kate! Ani mi się waży do tego zbliżyć!

– Tatku, jesteś niemożliwy. – Oburzyła się dziewczyna. – Chciałam tylko popatrzeć.

– Tak jak ostatnio?

– To był wypadek i dobrze o tym wiesz – dodała pośpiesznie, splatając ręce na piersiach.

– Który kosztował mnie dwadzieścia tysięcy platorów!

– Nas. Liczba mnoga – poprawił go szybko Novix, jednak momentalnie zamilkł czując na sobie gniewny wzrok mechanika.

– Inwestycja w wiedzę córki. – Odparła Kate nieco nonszalanckim tonem.

– Rozwaliłaś pomocniczą antenę radarową na lotnisku i omal nie storpedowałaś wieży kontroli lotów! – wypomniął jej ojciec.

– Ambi, cóż znaczy garść pieniędzy wobec wiedzy, jaką nabyła twa córka – zażartował Novix, zadziornie spoglądając na dziewczynę.

– To nie ty musiałeś bulić, tylko ja – odparł ponuro mechanik. – A tobie mówiłem tysiąc razy i powtarzam po raz kolejny: koniec nauki strzelania z czegokolwiek, co jest na tym lub jakimkolwiek innym statku.

– Ale tato...

– Żadnych „ale”. Koniec dyskusji! Edukuj się z podręczników. Tak jak twoja siostra.

Alan omal nie zakrztusił się herbatą na wspomnienie tego, co ostatnio wyrabiała druga córka Ambiego za jego plecami, ale subtelnie to przemilczał.

– Ale...

– Powiedziałem już swoje. Jestem twoim ojcem i do mnie należy ostatnie zdanie, póki żyję.

– Dokończycie tę pogawędkę później – odparł Al. – Zaraz wychodzimy z podprzestrzeni. Novix, zawiadam resztę.

– Wychodzimy z tunelu, panienki, więc trochę nami zatrzęsie! Kotix, możesz zacząć rzygać.

– Wal się, ty skur... – zachrypiał w głośniku oburzony głos, zastąpiony szybko niesmacznym odgłosem torsji.

– Mam nadzieję, że trafił do torebki – mruknęła Kate, a widząc oburzoną minę ojca szybko dodała: – No co?

Statek lekko zadrżał, po czym świetlisty tunel rozbłysnął białym światłem i zniknął. Za oknami kokpitu, zrobionych z niezwykle wytrzymałej mieszanki kwarcowo-tytanowej, ukazało się skupisko planetoid, lecz nigdzie nie było widać platformy wydobywczej, dla której wieźli przesyłkę. Al spojrzał na swoją mapę i monitor podglądu galaktyki, lecz nie znalazł niczego poza skałami.

– Jesteś pewien, że dobrze obliczyłeś koordynaty?

– Absolutnie, szefie – odparł zbity z tropu Novix, skanując teren dookoła. – Tutaj powinien być Planeot.

– I jest – powiedział poważnym głosem Ambi, spoglądając przez okno kokpitu.

– Co? Gdzie?

– Wszędzie.

Wszyscy podeszli do szyby i przyjrzeni się uważniej krajobrazowi. Nagle Kate cicho krzyknęła, zakrywając jednocześnie usta dłonią. Przed nimi w kosmicznej próżni unosiło się bezładnie ciało wielkiego jaszczura w szczątkach pomarańczowego kombinezonu. Połowa jego torsu, ogon i lewa noga były spalone do kości, zaś do pyska przymarzła mu długa stróżka krwi. Koło szerniałych zwłok krążył pogięty kawałek blachy, na którym widniał osmolony, czerwony napis: *PLANEOT*.

SYSTEM FOROD

JURYSDYKCJA OVIAŃSKA

MIĘDZYGWIEZDNA STACJA HANDLOWA GROS-5

PERSONEL STAŁY: 2029 OSÓB

PRZYJEZDNI: OKOŁO 56 000 OSÓB DZIENNIE

– No i jak ci się udał przetarg, drogi Romusie? Wygrałeś?

– Myślę, że tak, ale szejk jeszcze nie podjął wiążącej decyzji.

– Terranie są czasem dziwni, nie uważasz? U nas przetargi o fabryki nigdy nie trwają tak długo.

- Wolę handlować z nimi, niż z Torwiosami.
- Muszę przyznać ci rację... Co to za zamieszanie, tam przy oknie?

Dwaj Horionie podeszli do wielkiej szyby, przy której zebrał się spory tłumek i wskazywał na coś palcami. Mężczyźni spojrzeli w miejsce budzące zainteresowanie i ich oczom ukazał się długi, dość płaski, błękitno-czarny okręt kosmiczny, majestatycznie unoszący się na tle gwiazd i oddalonej o kilkanaście lat świetlnych mgławicy. Nagle jasna łuna światła otwierającego się tunelu podprzestrzennego oślepiła gapiów, kiedy druga podobna jednostka pojawiła się kilka kilometrów nad pierwszą, znacznie bliżej stacji.

Wśród obserwatorów, należących do kilku różnych ras, nastąpiło nerwowe poruszenie. Romus wraz ze swym kompanem przyglądali się badawczo dwóm tajemniczym okrętom. Mimo że wyglądały groźnie, w obu mężczyznach od razu odezwała się żyłka handlowca. Już przeliczali, ile taki statek mógł być wart w platorach. Wtem do uszu Romusa doszedł urywek rozmowy:

- Ponoć po drugiej stronie jest jeszcze jeden.
- Skąd wiesz?
- Mój brat jest w skrzydle szpitalnym i mówił mi przez telekom, że też widzi taki statek.
- Naprawdę?
- No. Tylko, że ten jego jest ponoć jeszcze większy.
- Chciałby! On zawsze chce mieć to, co najlepsze. A dlaczego on znowu leży w szpitalu?
- Oj to był wypadek. Bo wiesz...

Ale Romusa to już nie interesowało. Trzecia jednostka? To było naprawdę niepokojące. Kim byli właściciele tych błękitno-czarnych olbrzymów? Nigdy nie widział takich okrętów, a przecież był kupcem od ponad trzydziestu lat. Wtem jego kompan pociągnął go za rękę, mówiąc:

- Czy mi się zdaje, czy na tych statkach coś się obraca?
- Gdzie?

– Tam. U góry okrętu, na całej jego długości. Co to jest?

Romus spojrzał na płaskie, elipsowate wzgórki rozlokowane na głównej osi statku. Nagle wszystko zrozumiał. Rzucił się pędem w stronę głównej alei, ciągnąc swego przyjaciela za rękę, ale było już za późno. Kanonada plazmowych pocisków uderzyła z furją w wielką stację kosmiczną, wywołując serię eksplozji. Zgrzyt metalu mieszał się z sykiem ulatującego w próżnię powietrza, zagłuszając wrzaski przerażonych mieszkańców.

Kolejny grad pocisków uderzył w stację, powodując coraz większe spustoszenie. Romus wstał z podłogi i spojrzał w martwe oczy swego towarzysza. Obok leżał wielki stalowy płat podłogi z alejki nad nimi. Horionin podczołgał się do pękniętego na pół, zbrojonego okna i spojrzał na masywne sylwetki jednostek agresora. Przycisnął twarz do zimnego szkła i rozumiejąc, co za chwilę nastąpi, ostatnimi myślami był przy swojej rodzinie. Wtem na linii bocznej okrętu zamrugały trzy błękitne światła. Romus wpatrywał się w nie jak zahipnotyzowany, aż jaskrawe wstęgi energii z dział strumieniowych wbiły się w umierającą stację kosmiczną.

SYSTEM ALURA

MGLAWICA ALURIAŃSKA

TERENY ZEWNĘTRZNYCH RUBIEŻY

SKUPISKO PLANETOID TYR

**PIRACKA KRYJÓWKA CZARNORYNKOWA PÓŁNOCNYCH
SYSTEMÓW**

– Dajesz Max!

– Oskub drania!

– Panowie, panowie! Spokojnie. – Drobnny człowieczek uniósł dłonie w pokojowym geście, po czym szybkim ruchem rzucił kości na blat stołu. – Wasze życzenie jest dla mnie rozkazem.

Dwie czarne kostki zatrzymały się, pokazując w sumie magiczne siedem kropek. Tryumfalny okrzyk zwycięzców zagłuszył zawodzenie przegranych. Olbrzymi Ovianin, z potężną szramą przechodzącą mu przez prawe zamglone oko, spoglądał ponurym wzrokiem na dwie sześćościenne kostki do gry. Jego przeciwnik w ułamku sekundy zagarnął wygraną do kieszeni swej kamizelki, jakby robił to od urodzenia.

– Trzeba mieć fart, słodziuchny.

– Gnida – warknął Ovianin w swym ojczystym języku, zaciskając palce na krawędzi stołu z taką siłą, że drewno zaczęło pękać.

– I po co te wulgaryzmy? – zażartował zwycięzca, ku zaskoczeniu Ovianina, w jego języku, choć z wyraźnie słyszalnym akcentem. – Przecież graliśmy uczciwie. No chyba, że sam dałeś mi lewe kości, choć sądząc po twoich rzutach, to w to wątpię.

– Won!

– Już mnie tu nie ma. Zresztą w tym lokalu chyba już nikt nie chce grać z Fartownym Maxem.

– Powiedziałem, wypierdalaj stąd! – ryknął na całe gardło pirat tak ostro, że nawet towarzysze Maxa, którzy nie znali rodzimego języka Ovian, doskonale zrozumieli przesłanie.

Trójka szulerów ze swym przywódcą na czele wyszła z baru Czerwona Dziwka, pękając z dumy. W ciągu niespełna siedemdziesięciu dwóch godzin ogołocili praktycznie wszystkich liczących się hazardzistów na Tyrze-9, jednej z większych planetoid Tyra. Latali od stacji do stacji i grali, dopóki ich nie wyrzucono. Obecny lokal był już czterdziestym i zarazem ostatnim, jakie mieściły się w sieci składającej się z dziewięciu stacji kosmicznych, zbudowanych na tym skalnym wyprysku galaktyki.

Zwycięzcy obmyślali właśnie, co by tu zrobić z trzydniowym łupem, gdy nagle zewsząd zawyły syreny alarmowe. Piraci, szulerzy oraz wszelkiej maści typy spod ciemnej gwiazdy rzucili się pędem do swych okrętów, zaś załoga

stacji do wież obronnych. Potężny wstrząs powalił trójkę piratów na kamienistą ulicę, zaś odłamki skał i kawałki platform zaczęły spadać wokół nich.

– Na co czekacie, tchórze?! – ryknął za nimi tubalny głos. – Wracać do swej jednostki i walczyć, ścierwa!

W wejściu do Czerwonej Dziwki stał potężny Ovianin ze szramą na twarzy. Już miał zrobić krok w ich kierunku, gdy olbrzymi kawał skały runął na lokal. Gdy pył opadł, spod gruzu wystawała tylko zakrwawiona ręka Ovianina. Trójka piratów pozbierała się błyskawicznie z ziemi i pędem rzuciła się w kierunku hangarów. Nie minęły trzy minuty, gdy znaleźli się u głównych wrót, gdzie kłębił się spanikowany tłum.

– Nie przedostaniemy się!

– Panikujesz – rzucił niedbale Max, rozglądając się gorączkowo dookoła. – Tam. Szyby wentylacyjne.

W kilku susach dopadli do najszerszej kraty i gorączkowo zaczęli ją szarpać. Mieli fart, gdyż któryś z techników zostawił kilka narzędzi i niedomkniętą kratkę. Max uśmiechnął się mimowolnie i cała trójka weszła gęsiego do ciemnego, krętego tunelu technicznego.

– Jak myślicie, co się dzieje? – spytał jeden z kompanów, gdy znaleźli się już we wnętrzu hangaru.

– Pewnie znowu jakiś cholerny nalot „fedziów”. Albo po prostu konkurencja z Astry-5. Założę się, że nasz samozwańczy „król piratów” chce pokazać, kto tu rządzi.

– Szkoda, że akurat teraz – stwierdził opasły rudzielec, z trudem przeciskając się przez wyjście z kanału wentylacyjnego.

– Mniejsza z tym, za chwilę nas tu nie będzie. Zresztą ogołociliśmy wszystkich, których się dało. No dalej, wciągnij brzuch, spaślaku – jęknął Max, ciągnąc kompana za rękę.

Potężna eksplozja rozerwała główne wrota do hangaru, ciskając zwęglonymi ciałami na wszystkie strony. Huk ognia stłumił na chwilę wrzaski

agonii. Rudzielec wypełził w końcu z szybu i zwymiotował obok, gdy poczuł swąd spalonych zwłok. Drugi pirat z przerażeniem spoglądał w kierunku wciąż palącej się wyrwy.

– Mieliśmy fart, że nas tam nie było.

– Wątpiłeś we mnie, Jack? – odparł z udawanym zdziwieniem Max. – Dalej, wynośmy się stąd!

Kilka minut później siedzieli już za sterami swej starej, wiernej łajby *Madam Lucky*. Silnik zagrał słodki warkot wolności i niewielki, brudny statek wystrzelił z pasa startowego niczym z procy. Ledwo wznieśli się w przestrzeń, planetoida za nimi rozpadła się na dwoje w świetle snopów ognia, szybko gasnącego w kosmicznej próżni. Odruchowo rozejrzeli się dookoła w poszukiwaniu źródła zagrożenia i zdębieli.

Masywne błękitno-czarne okręty z furją ostrzeliwały otaczające ich planetoidy, rozszarpując je na kawałki. Mobilne systemy obronne w zasadzie już nie istniały, zaś stacjonarna obrona na planetoidach-bazach powoli dogorywała w błyskach eksplozji. Rozproszone pirackie okręty padały jeden za drugim, będąc łatwym łupem dla śmigających wszędzie błękitnych myśliwców wroga.

– Gambler chyba zbudował na Astrze nowe okręty – stwierdził rudzielec przerażonym tonem.

– Coś mi mówi, że to nie on – odparł Fartowny Max, po czym nagle zbladł.
– Panienko przenajświętsza... – wyszeptał.

– Co jest, szefie?

– Tyr-6. – Wskazał palcem naprzeciw nich. – Spójrzcie.

Kolosalnych rozmiarów planetoida, będąca centralną bazą, pluła na wszystkie strony gejzerami gruzu i ognia. Smugi dymu wydostające się ze stacji, otulały ją mrocznym całunem. Wtem srebrzysty promień przeszył ją na wylot. Kula ognia wystrzeliła w kosmiczną otchłań, aby po chwili zgasnąć i pozostawić po sobie tylko przerażający obraz zniszczeń. Kolejny cios z działa strumieniowego rozszarpał planetoidę na kawałki. Tyr-6 w ułamku sekundy

zniknął w chmurze eksplozji, by zamienić się w rozrzucone na wszystkie strony potężne odłamki gruzu oraz złomu. Szczątki planetoidy z impetem taranowały wszystko, co stało im na drodze. Kilka większych odłamków uderzyło w jeden z pancerników napastnika, tworząc wyrwę w jego prawej burcie.

Max i jego kompani mieli szczęście. Byli dość daleko od stacji i udało im się zręcznie wyminąć nadlatujące szczątki. Namierzające ich myśliwce, również musiały przeprowadzić manewry unikowe, tracąc tym samym *Madam Lucky* z celowników. Max wykorzystał zamęt podsycony eksplozją kolejnej planetoidy-bazy i skierował okręt w pustą przestrzeń za krążownikiem wroga. Uśmiech nie schodził mu z twarzy, gdy włączał rozrusznik napędu podprzestrzennego.

– Oto wolność, panowie! – ryknął na całe gardło.

Świetlisty dysk tunelu rozbłysnął przed dziobem statku. Oczy załogi zapłonęły ogniem zwycięstwa. Znów mieli fart. Wtem błękitny promień z działa strumieniowego przeszył na wylot *Madam Lucky*, zamieniając ją w kulę ognia. Poskręcane kawałki stali wpadły w świetlisty dysk, który w tym samym momencie się zamknął.

Wszyscy zginęli.